

AGNIESZKA
JEŻ



KIM
NAPRAWDĘ
JESTEM



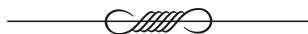
Dwie kobiety, zaginione dzieci
i tajemnice wojny – czy przyjaźń
i miłość wystarczą, by ocalić to,
co najważniejsze?



FILIA



AGNIESZKA
JEŻ



KIM
NAPRAWDĘ
JESTEM

FILIA

Rozdział 1

A gdyby to naprawdę było moje życie?

Zdumiała ją odwaga tego zdania. Niestosowność. Niemożliwość. „Znaj swoje miejsce”, powtarzała jej matka, mając na myśli Rogoźno i ich nieduże mieszkanie na parterze piętrowej kamienicy, prawie kwadrans od rynku. Zresztą to „znaj swoje miejsce” nie ograniczało się do adresu. Obejmowało ono całe życie rodziny Radke, w każdym szczególe. Tu się urodzili, tu pracują, tu przyszły na świat ich dzieci, które powtórzą ich los. Narodziny i śmierć zamknięte w określonych granicach. Nic więcej, a dobrze, że nie mniej, i za to nieustannie trzeba być wdzięcznym Panu Bogu, losowi i dobrym ludziom.

Na przykład takim jak Jan i Maria Szaflarscy.

Janina dobrze pamiętała ich pierwszy przyjazd do Rogoźna. Już wtedy, a miała przecież dopiero dziesięć lat, zwracała uwagę na gości – każdy kawałek obcego, lepszego, ładniejszego świata, który pojawiał się w ich mieście. Porównywała ich do tych apetycznych ciastek w witrynie cukierni i kawiarni Wincentego Jarosza na Czarnkowskiej,

gdzie tamtej późnej, ciepłej wiosny dwa lata temu Halina, jej siostra, pomagała w obsłudze – najpierw na zapleczu, a potem wśród stolików i klientów. Dla Haliny to było coś. Młoda, dopiero co wchodząca w dorosłe życie, dostała taką pracę! Mogła przebywać pośród tych, którym lepiej się wiedzie, co widać nie tylko po ubiorach, lecz także po sposobie, w jaki się noszą – uśmiechnięci, zadowoleni z życia, które sami sobie lepiają, jak cukiernik masę marcepanową. Rodzice Janiny, Jadwiga i Bogusław Radke, wyglądali zupełnie inaczej, i nie chodziło tylko o fizjonomię i odzież. Ojciec pracował w Młynotwórni, a matka – w Mleczarni Spółkowej. Młynotwórnia już kilka lat temu zmieniała się w Zakłady Przemysłowe inżyniera Franciszka Pałaszewskiego i synów, ale u nich w domu nadal się mówiło tak, jak dawniej. Janina nie lubiła tego „jak dawniej”. Wszystko miało być „jak dawniej” albo „jak zawsze”, a to przecież wykluczało jakąkolwiek inną przyszłość. W takim świecie wszystko było przewidywalne i niezmienne. Także dorosłe życie Janiny, która za kilka lat będzie szła na rogoziński rynek po sprawunki, może już ze swoim dzieckiem u boku, a potem wróci do domu, żeby szykować obiad dla siebie i Jędrka. Później kolejne dziecko, praca, pewnie jakieś choroby, kłopoty, nic nadzwyczajnego, to, co ma każdy, póki śmierć nie zaprosi.

Wzdrygnęła się i dotknęła pierścionka, który wsunęła na serdeczny palec lewej dłoni. Przez jakiś czas wydawało się jej, że jest ładny. Złotego koloru, ze środkiem wypełnionym czerwonym kamykiem. Taki dorosły przedmiot, który przenosił ją do innego świata. Dreszcz emocji, wyrywanie ze zwyczajności.

Tyle że pozłotko szybko zaczęło się ścierać, a kamyk stracił blask. Janina tłumaczyła sobie, że to dlatego, iż wykonuje w nim różne prace, które odzierają go z tego powierzchniowego błysku. „Noś tylko w niedziele, a będzie dobrze”, poradziła jej matka, której palce nie znały żadnej biżuterii poza cienkim paskiem srebrnej obrączki.

Niby słuszna rada, ale przecież można nosić pierścionek przez cały czas, bez żadnej szkody dla jego wyglądu. Na dłoni Marii Szaflarskiej błyszczał fioletowy kamień osadzony w złotym koszyczku. Na tym pierścionku nie było żadnej skazy, jakby dopiero co trafił na palce, a przecież już tamtej wiosny Janina go przyuważyła i zapamiętała.

Miała go przed oczami także wtedy, gdy Jędrak, dumny z siebie jak paw, podarował jej „ten drobiazg”. Tak go nazwał, ale po minie widać było, że myśli o nim zupełnie inaczej. I że myśli też o Janinie – poważnie i przyszłościowo.

Jakby w Rogoźnie mogła być jakakolwiek przyszłość – inna niż terażniejszość, tyle że przesunięta w czasie. Tak to właśnie wyglądało – zrywało się kartkę z kalendarza, który wisiał na gwoździu przy kredensie, zmieniały się dni, miesiące i lata, życie przesuwało się naprzód, jak gąsienica po pniu, ale dokoła wciąż było tak samo.

I dlatego Janina zazdrościła Halinie, która po tamtym pobycie Szaflarskich w Rogoźnie dostała propozycję, by pojechać do Poznania i pomóc im przy synach. Wtedy na świecie byli już Jurek i Kazimierz, a pani Maria była w ciąży. Wczesnej, nic nie było widać, wręcz przeciwnie – szczupło wyglądała, z ładną talią, którą matka

Janiny straciła dawno temu. W ogóle Maria Szaflarska prezentowała się naprawdę dobrze. Jeśli dołożyć suknię, uczesanie i wielkowiejskość – to pięknie. Choć... Dziś rano, kiedy Jania przeglądała się pod nieobecność pani domu w dużym lustrze zawieszonym w przedpokoju, pomyślała, że ona też jest piękna. Naprawdę piękna, i to bez tych wszystkich dodatków, które z przeciętnej kobiety robią ślicznotkę. W szklanej, wypolerowanej na błysk tafli widziała siedemnastoletnią blondynkę o niebieskich oczach, z gładką, lekko tylko opaloną buzią, czerwonymi, ładnie wydętymi ustami i zgrabnym nosem. Zobaczyła i poczuła, że właśnie w niej zebrało się to wszystko, co natura może dać kobiecie – uroda, wdzięk i młodość. I że wygrywa tym zestawem z Marią Szaflarską. Zdecydowanie. W pierwszej chwili przestraszyła się tej myśli, bo była zuchwała. Ale później...

Najpierw jednak było wcześniej, czyli wyjazd Haliny do Poznania. Poprzedzony rozmowami rodziców, którzy w ogóle nie czuli, że ta – niecodzienna przecież – propozycja jest taką okazją. Owszem, byli zadowoleni, że tacy państwo – Jan Szaflarski był doktorem – zainteresowali się ich córką, docenili jej wychowanie i ogładę i zaproponowali, żeby zamieszkała w ich pięknym domu w Poznaniu i pomagała przy dzieciach. Halina lubiła dzieci, a poza tym była grzeczna i cicha. „Żeby tam tylko co złego się nie stało”, matka westchnęła kilka razy. Było jasne, o jakie „złe” chodzi – takie, które zostawia dziewczynę z brzuchem. Janina nie wierzyła w taki przebieg wypadków, bo знаła siostrę, cichą i ułożoną, niemającą żadnych rozszczeń wobec życia, poza tym w Rogoźnie został Piotrek,

z którym „mieli się ku sobie”, i Halina naprawdę poważnie o nim myślała. Nie tak, jak Janina o Jędrku, który po prostu był i ograniczał się do tutejszego rytmu życia, czyli nie wykraczał poza to, co tu i teraz.

Zatem Halina pojechała, trochę przestraszona, choć i dumna, rodzice też z dumą mówili, że „do takiego domu”, a Janina się zastanawiała, czy więcej w niej radości, że coś takiego trafiło się siostrze, czy zazdrości. Raz jedno brało górę, raz drugie.

Halina co jakiś czas przyjeżdżała do domu, rzeczywiście jakby ciut odmieniona, może trochę wyższa, bo wyżej głowę nosiła, z pewnymi nowymi nawykami, którymi przesiąkała u Szafarskich, ale które w Rogoźnie szybko odkładała na bok, nie mieszając porządków i światów. Opowiadała przede wszystkim o dzieciach. Że takie ładne, grzeczne, miłe. Aniołki po prostu, a do tego wszystkie śliczne – niebieskookie blondaski, jak pan doktor.

Jan Szafarski. Nie dość, że wykształcony, z pozycją, szanowany, to jeszcze taki przystojny. Janina, kiedy pierwszy raz go zobaczyła, od razu pomyślała, że jest ładniejszy od żony. Maria, owszem, była atrakcyjną kobietą, ale on... Jakby własnoręcznie przez Pana Boga ulepiony, z najlepszych materiałów. Wzór, ideał.

Czy to wtedy przyszło jej do głowy, że ona by do niego pasowała? Nie, na pewno nie. Nie odważyłaby się tak pomyśleć. Mimo swojej odrębności nie wyszłaby wtedy tak daleko poza to, co w nią wtłoczyli rodzice i to miasto. Znała swoje miejsce.

Potem jednak miejsce się zmieniło. Na początku tego roku Halina złamała nogę. Najpierw zima długo nie

mogła do nich przyjść, przykra plucha uprzykrzała życie, mocząc buty i brudząc płaszcze, aż wreszcie się ochłodziło i sypnęło śniegiem. To, co pod białym puchem, zmroziło się i tylko czekało na zbyt szybki lub nieuważny ruch. I Halinie się taki zdarzył. Bardzo pechowo, bo złamała nogę, tak że potrzebna była operacja. Pan doktor się przejął i pomógł w leczeniu. Wtedy też się okazało, że tym doktorem Jan Szaflarski jest jedynie z nazwy. Doktor wszech nauk. To podobno znaczyło nawet więcej niż w przypadku doktora, który osłuchuje, przepisuje leki i odwiedza pacjentów – to był stopień wyżej w karierze. Z perspektywy Rogoźna te stopnie były jednak i tak wysokie, że można było się potknąć i pogubić. Zakład Higieny, czyli miejsce pracy Jana Szaflarskiego, zajmował się nauką, nie pojedynczymi ludźmi, ale doktor znał innych lekarzy, zawiózł Halinę do szpitala, odwiedzał i nawet opłacił leczenie. Jego żona też zachowywała się jak należy, ale życie musiało się toczyć dalej. Dlatego kiedy odwiozła Halinę do domu, życząc jej szybkiego powrotu do zdrowia, choć jasne było, że kości długo będą się zrażały, zapytała, czy Janina nie zechciałaby zastąpić siostry. Halina dużo o niej opowiadała, że również lubi dzieci, że pracowita. Janina bardzo musiała się postarać, by nie wybuchnąć radością. Podobnie jak kiedyś siostra, pracowała w cukierni i kawiarni. I choć matka powtarzała, że to bardzo dobra praca, to na myśl, że to tyle, że już nic innego się nie wydarzy, Janina słabła i nawet kęsy herbatników czy eklerek nie zawsze pomagały odzyskać siły i wigor.

Zgodziła się, oczywiście. W cukierni powiedziała, że to na zastępstwo, a nazwisko Szaflarskich, którą w Ro-

goźnie mieli rodzinę, działało magicznie – właściciele zapowiedzieli, że gdy tylko Janina wróci z tego zastępstwa, miejsce będzie na nią czekało. Żona właściciela ze zrozumieniem pokiwała głową, że „państwo” wolą zwyczajną, niezepsutą dziewczynę z prowincji zamiast jakiejś zmanierowanej miastowej pannicy.

To wtedy pierwszy raz Janina przekręciła pierścionek na palcu. Jędrak podarował go krótko przed jej wyjazdem, na Boże Narodzenie. Mama cmoknęła z zadowoleniem, że on taki na poważnie, że woli kupić coś dziewczynie, niż na głupoty roztrwonić. Nie komentowała, że to pozorny blask, że pozłacanie i sztuczny kamyczek, bo w ich świecie innych nie było.

Janina odkryła różnicę w Poznaniu, w domu Szaflarskich, gdy patrzyła na swój palec i palec pani Marii. I myślała sobie, że tu wszystko jest inne, lepsze, ładniejsze i że ona...

Wtedy życzyła sobie tylko tego, by dłużej, jak najdłużej tu zostać. Dlaczego połączyła tę myśl z gestem przekręcenia pierścionka na palcu? Jakoś samoistnie przyszło jej to do głowy, jak wspomnienie z dziecięcych lat, gdy czytała bajkę o wróżce, która miała taką moc zmieniania świata. Wyrosła z tamtej bajki, oczywiście. A jednak...

Lekko wytarta obrączka wykonała obrót, a kilka dni później z domu przyszedł list, że pojawiły się komplikacje. Operacja wykonana najlepiej, jak to było możliwe, ale noga już nie taka, jak przed upadkiem. I nie ma raczej szans, by ćwiczenia doprowadziły do odzyskania dawnej, pełnej sprawności i wyglądu. „Halina już nie będzie jak młoda, zwinna dziewczyna, która biega niczym kozica.

Stopa trochę źle ustawiona, to podobno z kolana idzie. Piotrek przychodzi, zabiera na spacer, opiekuje się. Dobrze to o nim świadczy i oby jak najdłużej tak”. Nie padło w tym liście, że Halina ma szczęście, że jej chłopiec nie odwrócił się od niej, trochę już wybrakowanej, na samym początku dorosłego życia, ale to było jasne.

„Tak że zastępuj ją, jeśli Państwo równie zadowoleni z Twojej pracy. I dziękuj za wsparcie. Złote serca mają Twoi pracodawcy”.

Z poznańskiego domu szły do Rogoźna przekazy pieniężne, mimo że przecież żadnej winy Szaflarskich w tym wypadku Haliny nie było. Więcej – akurat tego dnia miała wychodne, więc wyjście z domu zupełnie nie było związane z pracą.

Zatem – spełniło się. Tak pomyślała Janina, odkładając kartkę zapisaną krzywym pismem matki.

Została w Poznaniu, na czas nieokreślony. Najmłodsza dwójka – bo z tamtej, niewidocznej jeszcze wtedy ciąży przyszły na świat bliźniaczki, Basia i Ewa, miały dopiero półtora roku. Jurek – pięć lat, a Kazio – trzy. Pracy nie zabraknie, a że Janina się starała, państwo Szaflarscy zaś to dostrzegali, wszystko wyglądało bardzo obiecująco.

Tylko Jędrzek od czasu do czasu dopytywał, kiedy Janina wróci do Rogoźna. Zanim się okazało, że wypadek Haliny będzie miał takie konsekwencje, uznawał, że to nieobecność na kilka tygodni, góra – miesięcy. Ale teraz było inaczej, nie tylko zresztą pod tym względem, co Jędrzek chyba przeczuwał, mimo że Janina o niczym mu nie mówiła.

Zresztą co by miała powiedzieć? Że czasem, kiedy państwa i dzieci nie ma w domu, jak na przykład teraz,

bo Szaflarscy pojechali na proszony obiad, gdzie też potomstwo w domu, więc zabrali swoją czwórkę, która wraz z tamtymi maluchami będzie pod opieką służby, by dorośli mogli w spokoju toczyć miłe rozmowy w ładnych wnętrzach, Janina siadała przy toalecie pani domu i przeglądała się w jej lustrze, czesała jej szczotką i nawet kilka razy użyła jej pudru. Albo otwierała szafę i przejeżdżała dłonią po zawieszonych na wieszaku sukniach. Wysuwała szufladę komody i wpatrywała się w bieliznę. Przysiadła na łóżku w sypialni – zawsze potem starannie wygładzała kapę – i wyobrażała sobie, że to ona tam leży. Obok Jana Szaflarskiego. Młoda, z jędrnym ciałem, nienaznaczonym trudem ciąży i wydawania życia na świat.

Za pierwszym razem przełękała się tej myśli, aż się przeżegnała. Grzech, przeraziła się. Niewdzięczność i głupota. Drżącymi rękami zlikwidowała ślady swojej bytności w tym intymnym miejscu i przez jakiś czas odwracała wzrok, gdy przechodziła obok sypialni.

Ale później przyszła chęć ponownego doświadczenia tego uczucia – palącego wstydem i pociągającego jednocześnie – i była silniejsza. Więc znowu się zdarzyło. Raz, drugi, trzeci. Policzki mniej paliły, dłonie mniej drżały, głos rozsądku, a może głos matki z Rogoźna, który się w niej odzywał – cichł.

Teraz też milczał, jak kamień. A Janina leżała na małżeńskim łożu Jana i Marii Szaflarskich, wyobrażając sobie, że to ona jest panią domu. Że to na nią tak pan doktor patrzy, jej dłoń i policzek całuje, jej kupuje kwiaty. Już jej to nie dziwiło. Wiedziała przecież, jak wygląda.

Dostrzegała spojrzenia chłopców i młodych mężczyzn, gdy chodziła po mieście. Była piękna i była młoda. Miała to, co najsilniej przyciąga płęć przeciwną.

Owszem, nie miała pochodzenia, wiedzy czy obycia Marii, ale część z tego da się nadrobić. Choć... Przysłuchiwała się czasem rozmowom, jakie gospodarze prowadzili przy stole. Jan opowiadał o pracy, o badaniach, wyciągał jakieś książki, notatki, razem się nad nimi pochylali, jak równy z równą, a wtedy Janina czuła ukłucie zazdrości i siłę, która ściągała ją z powrotem we właściwe miejsce, czyli pomocy do dzieci z prowincji, która ma swój pokój przy schodach, a tymi schodami kiedyś wyjdzie z tego domu wprost na dworzec i wróci do rodzinnego miasteczka, by powielić los rodziców.

Kiedy jednak dom pustoszał i cichł, Janina przeganiała tamte obrazy i robiła miejsce dla innych – takich, w których żona Jana Szaflarskiego miała jej twarz, jej figurę.

Była nią.

Nadal jednak te śmiałe obrazy były tylko marzeniami. Odważnymi, zapewne niestosownymi i może głupimi, ale marzeniami. Mogły się dziać tylko w jej głowie.

Teraz jednak pomyślała: A gdyby to było moje życie? Gdyby to naprawdę było moje życie? Prawa ręka sama powędrowała ku lewej i dotknęła pierścionka. Czerwone oczko się przesunęło, zniknęło jej z pola widzenia, wychynięto z drugiej strony palca.

Przez otwarte okno usłyszała głosy dzieci.

Zerwała się z łóżka, nerwowo przejechała dłońmi po kapie, rozejrzała się, czy wszystko na swoim miejscu, i zamknęła za sobą drzwi sypialni. W kilku susach znalazła

się w swoim pokoiku. Usiadła na krześle i wyciągnęła przybornik oraz koszulę, od której odpadł guzik.

– No, nareszcie w domu – usłyszała głos Jana Szafarskiego.

Pchana nagłym impulsem, odrzuciła koszulę i podskoczyła do drzwi. Zanim ktokolwiek zdążył coś odpowiedzieć, Janina wypadła na korytarz, uśmiechnęła się, dygnęła i powiedziała:

– Jestem. Czekam.

Patrzyła na doktora, jakby obok niego nie było żony.

Bo rzeczywiście nie było; dopiero po chwili pojawiła się w drzwiach.

– ...mam, musiał mi upaść na dole, kiedy zdejmowałam rękawiczkę. A tak się przestraszyłam.

Maria Szaflarska z czułością wpatrywała się w dłoń, na której lśnił złoto-fioletowy, doskonały pierścionek.

Janina dygnęła, a w środku niej też coś się zgęzło, tyle że nie chciało się rozprostować, powodując bolesny przykurcz.

– Bo to przecież taka pamiątka – powiedziała Maria. – Zaręczynowa. I na całe życie.

– Całe życie przed nami. – Jan Szafarski czule się uśmiechnął. Nie był przywiązany do przedmiotów i nie miał kobiecej wrażliwości, ale żona go wzruszała. Dobra, delikatna, ładna, a do tego mądra. Powiedział jej to kiedyś, zdjęty niespodziewaną dla siebie czułością. Odparła, że czuje tak samo i czasem się boi, że takie szczęście nie może bezkarnie trwać, bo przecież świat działa w ten sposób, że gdy coś daje, to i zabiera, utrzymując bilans na stałym poziomie. Odparł, że zajmuje się nauką, nie

buchalterią, i tym ją rozbroił. Tak bardzo, że niecałe dziesięć miesięcy później na świecie pojawiły się Basia i Ewa. Do dzieci też mieli szczęście – młodzi Szaflarscy byli ładni i zdrowi.

Jan patrzył na Marię, ona na niego i zupełnie nie zwracali uwagi na Janinę, która poczuła, że policzki jej czerwienieją. Ze skrępowania, z żalu, ze złości.

Przesunęła ręce w tył, za plecy, splotła dłonie. Palce prawej znowu schwyciły pierścionek. Żeby..., pomyślała.

Złoczone kółko się obróciło, czerwony kamyk lekko zahaczył o skórę. Janina poczuła delikatną lepkość pod palcami.

Życzenie przypieczętowane krwią.

Rozdział 2

– Ale upał. – Jadwiga Radke przetarła spoconą twarz chustką. – Nie idzie wytrzymać. A tu tyle jedzenia. – Westchnęła. – Żeby się tylko nie popsulo.

Bogusław Radke się uśmiechnął.

– Co się ma popsuć, zjedzą wszystko. A być musi, w końcu córka za męża idzie. – I spojrzął w kierunku centralnej części stołu, gdzie za białym obrusem siedzieli nowożeńcy: Halina i Piotr.

Przyjęcie zorganizowano na zewnątrz, w przyległym do kamienicy ogrodzie. Na szczęście rosły tu drzewa, więc był cień i nawet trochę wiatru. Zestawione ze sobą stoły, wykrochmalone obrusy, wazony z kwiatami. Na te ostatnie nalegała Janina, która twierdziła, że tak będzie bardziej elegancko. Jadwiga się zgodziła, choć uważała, że kupowanie bukietów, które w takim upale postoją góra trzy dni, to wyrzucanie pieniędzy w błoto, czy raczej na kompost, ale uległa, bo przecież jej młodsza córka brała te wzory z naprawdę dobrego domu swoich poznańskich pracodawców. Doktorostwo Szaflarscy wiedzieli, co

w dobrym tonie i co wypada. Niestety, nie przyjechali na ślub, bo doktor miał jakieś ważne sprawy zawodowe, ale prezent – bardzo ładną zastawę stołową – przysłali.

– Prawda, prawda – przytaknęła ochoczo Jadwiga.

Trochę się martwiła o to, by nic nie skwaśniało, spleśniało czy zjełczało, bo bardzo nie lubiła marnowania żywności. Uważała, że to grzech, no i tak zwyczajnie, serce boli, jak się wyrzuca to, za co się zapłaciło ciężko zarobionymi pieniędzmi.

Te wszystkie myśli gięły się jednak pod radością, jaka zagościła w jej sercu, kiedy Piotrek zjawił się u nich w domu, padł na kolana i powiedział, że raz już prosił o rękę Haliny i teraz prosi znowu, tak konkretnie, do kościoła, żeby przed Bogiem sobie już przysięgli.

Że młodzi mają się ku sobie, to było wiadomo od dawna. Tyle że potem się zdarzył ten paskudny wypadek i jej pierworodna nie była już do końca sprawna. Niby nie wielkiego, w końcu noga to nie głowa, ale na przykład zatańczyć z przytupem to już nie bardzo.

Nie bardzo też z tego powodu, że Halina nie najlepiej się czuła. To już nie przez nogę, tylko dlatego, że była w ciąży.

Jadwiga od razu zauważyła, przecież jest matką i kobietą. Wzięła córkę na bok i bez ceremonii zapytała, czy do czegoś doszło. Odpowiedzią był szloch. „Nie płacz, głupia, nie ma co. Widać tak Pan Bóg chciał. Teraz tylko Piotrek musi chcieć tak samo. Wie?” Nie wiedział. Jadwiga nakazała córce szybką rozmowę, z której miały wyniknąć jeszcze szybsze zapowiedzi. Młodzi byli już przecież po słowie, ale to jeszcze nie pewnik. Zawsze można się

wycofać; niby głupio i wstyd, ale jednak jakaś furтка jest. Sakrament zatrzaśnie ją na zawsze.

No i zatrzasnął, więc przysłała ulga, która napędzała Jadwigę do kupowania, gotowania, pieczenia.

– Nie płacz, co ty. – Bogusław spojrział na żonę.

– To z radości. Że wszystko się ułożyło.

– A co się miało nie ułożyć? Halinka sroce spod ogona nie wypadła. Dobra jest, uczciwa, pracowita. Taka żona to skarb.

– No ale ta noga...

– Co tam noga! Daleko tu przecież nigdzie nie jest, zmęczyć się nie zdąży. Przeszkadzać to w niczym nie będzie. W tym, co ważne, też nie. – Znacząco uśmiechnął się do żony.

No nie, pomyślała Jadwiga, która nie podzieliła się wiadomością o ciąży Haliny z mężem. Pewne sprawy są babskie i takie niech zostaną. Ich tajemnica.

Żadnych tajemnic nie miała natomiast z młodszą córką, Janiną. Grzeczna była, miła, przyjeżdżała do Rogoźna, przywoziła upominki, ale była taka jakaś... obca. Nie, to za mocno powiedziane, choć coś z tego na pewno. Jadwiga czasem się nad tym namyslała. Dwie córki miała, obie z niej i z tego samego ojca, a tak się różniły. Dziwne to było, choć i w jakiś sposób intrygujące. W każdym razie po tym, jak Janina zakosztowała wielkomiejskiego życia, jeszcze bardziej się oddaliła od domu. Jakby nie była już jedną z nich. Jadwiga bała się, że młodszej córce też się zdarzy zapomnieć, i to nie z Jędrkiem, który by na pewno chciał iść do ołtarza, tylko z kimś innym, kto po wszystkim da nogę i tyle go widzieli. A brzuch zostanie.

DWIE KOBIETY ŁĄCZY WSPÓLNY LOS, ALE DZIELĄ TAJEMNICE – TAKIE, KTÓRYCH NIE WYJAWIA SIĘ NIKOMU

„A gdyby to było moje życie?”, myśli Janina Radke, patrząc na szczęśliwą Marię Szaflarską, której dziećmi się opiekuje. Jej pracodawczyni ma wszystko: wspaniałego męża, udane potomstwo, ładny dom. Janina ma marzenia oraz poczucie, że los obdarza niesprawiedliwie.

Chwilę później wybucha wojna, która zmiata wszystko, na czym opierał się dotychczasowy porządek świata.

I gdy wydaje się, że życie rozdało już wszystkie złe karty, zdarza się najgorsze – córki Marii znikają bez śladu. Wojenna zawierucha zabiera także Janinę.

W czterdziestym piątym roku kobiety znowu się spotykają. Zbliża je samotność i cel – odnaleźć dwoje zaginionych dzieci.

I to, o którym nikt poza Janiną nie wie.

Podczas poszukiwań poznają Romana Hrabara – adwokata, który odkrył, że za tajemniczymi zniknięciami polskich dzieci stał nie przypadek, a misternie zorganizowana niemiecka akcja. Maria i Janina jeszcze nie wiedzą, że niebawem przyjdzie im odpowiedzieć na najtrudniejsze pytania: czym jest macierzyństwo? Kto jest prawdziwą matką? Co jest naprawdę dobre dla dziecka? Czy można pokochać wroga? Ile można wybaczyć przyjaciółce?

wydawnictwofilia.pl



Klub książki

ONA
CZYTA

Facebook.com/ONACZYTA

FILIA

cena 49,90 zł

ISBN 978-83-8402-001-2



9 788384 020012